Nr. 2. Kraków, Luty 1920. Rok XIV.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:

Kraków, plac Maryacki L. 2.

Telefon 483.

Prenumerata roczna 8 K. półrocznie 4 K.

Cena egzemplarza wynosi 80 halerzy.

TRESC NUMERU II:

Kardynałowie polscy.

Jest w św. kościele katolickim godność najwyższa po godności papieża, której piastować nie może więcej ponad 70 ludzi. To godność kardynalska. Kardynałowie wybierają papieża, z kardynałów składają się t. zw. Kongregacye czyli zgromadzenia, zajmujące się sprawami, związanemi z religią i z Kościołem. Wszystkich kardynałów, których Polska wydala, było dotąd dwudziestu. Pierwszym był Wacław książę Lignicki z rodu Piastów, biskup wrocławski — ten zrzekł się swej godności w r. 1381. Po nim kardynałem był sławny Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski w połowie XV wieku. W 15-stuleciu mieliśmy oprócz Oleśnickiego jeszcze trzech innych kardynałów, a mianowicie Aleksandra księcia Mazowieckiego z rodu Piastów, który był biskupem trydenckim; Wincentego Koła, arcybiskupa gnieźnieńskiego i Fryderyka Jagiellończyka, królewicza polskiego, biskupa krakowskiego. W wieku XVI miała Polska trzech kardynałów, pośród których pierwsze miejsce zajmuje uczony pisarz i zasłużony mąż, biskup warmiński Stanisław Hozyusz. Obok niego kardynalski kapelusz piastowali biskupi: Jerzy Radziwiłł i Andrzej Batory. W XVII wieku występuje

pięciu polskich purpuratów. Są nimi: Bernard Maciejowski, biskup krakowski; Jan Olbracht, królewicz polski, a biskup warmiński i krakowski; Jan Kazimierz, królewicz polski, który z jezuity został kardynałem dyakonem, lecz purpury nie nosił, potem godności się zrzekł i zasiadł na tronie polskim; Michał Stefan Radziejowski, arcybiskup gnieźnieński i Jan Kazimierz Denhoff, opat mogilski. W wieku XVIII, t. j. w tym wieku, który widział upadek Polski, mieliśmy jednego kardynała: Jana Aleksandra Lipskiego, biskupa krakowskiego. Po upadku Polski godność ta u nas znikła, Polacy przez czas pewien ze względów politycznych jej nie otrzymywali. Dopiero papież Pius IX, wielki przyjaciel Polski, mąż wielkiej świętości, przywrócił dawną tradycyę, mianując kardynałem Mieczysława hr. Ledóchowskiego, prymasa gnieźnieńskiego, który oparł się Bismarckowi w czasie prześladowania katolicyzmu w Niemczech i siedział nawet za swą wiarę w więzieniu. Przed nim jeszcze był kardynałem Michał Lewicki, arcybiskup lwowski. Po Ledóchowskim zaś kapelusz kardynalski otrzymali biskupi krakowscy: Albin Dunajewski i Jan Puzyna. Wszystkich tych purpuatów zatem było dotąd óśmnastu.

Dwu ostatnich mianowała Stolica apostolska w ostatnich tygodniach. Są to prymas ks. Dr. Dalbor i arcybiskup warszawski, ks. Dr. Kakowski. Uroczystość włożenia biretu kardynalskiego nowym kardynałom odbyła się w pałacu watykańskim dnia 17 grudnia 1919 r. Uroczystość to była wspaniała. W papieskiej sali tronowej oczekiwał przybycia ks. Prymasa i ks. Arcybiskupa Ojciec święty w otoczeniu swego dworu. W najbliższem sąsiedztwie tronu papieskiego zajęli miejsca posłowie różnych państw, przebywający przy Stolicy Apostolskiej, między nimi na pierwszem miejscu poseł Wierusz-Kowalski z żoną. Nowi kardynałowie przystępowali kolejno do Ojca św. i uklęknąwszy u stóp jego, otrzymywali z rąk papieża biret kardynalski, poczem, złożywszy głęboki ukłon, odeszli na swoje miejsce.

Po tej uroczystości wystąpił kardynał Bertram książę biskup wrocławski i jedyny dziś kardynał w Niemczech i w przemowie do papieża podnosił jego pracę nad pokojem, jego serce, które biło w czasie wojny równą dla wszystkich miłością. Papież w odpowiedzi na to przemówienie wygłosił mowę, w której podkreślał zasługi niektórych kardynałów, a nakoniec zwrócił się do nowych kardynałów polskich. Mówił do nich Papież, że Pol-

Gromnica.

(Wspomnienie).

Byłem małym, kilkoletnim chłopcem. Nie pamiętam dobrze, czy już do szkoły chodziłom. Nie potrafiłbym też dzisiaj wypowiedzieć, jakie wtenczas myśli snuły się po głowie młodego chłopca, co ten chłopiec czuł, jaki był zakres jego pojęć, jaki był jego duchowy świat. Pamięć zachowała wprawdzie, jak u każdego z ludzi, pewne szczegóły, pewne zdarzenia z tych minionych lat, z tej chwili „sielskiej, anielskiej“ — i szczegóły te wracają nieraz i przypominają to, co się przeżyło, ale dokładnego obrazu młodości ani ja, ani nikt oddać nie potrafi. Jest to niemożliwe.

Szczegóły jednak i drobiazgi pozostały i o tych można niejedno powiedzieć. Szczegóły te są nieraz tak piękne i miłe i tyle mają w oczach naszych powabu i czaru, że warto o nich słów parę powiedzieć. O jednym takim szczególe, który mi na zawsze w duszy pozostał, chcę czytelnikom wspomnieć — chcę im odkryć to, co mojem zdaniem, prawdopodobnie każdy z nich, o ile na wsi żyją, przeżyć musiał.

Chcę mówić o gromnicy, o tej naszej kochanej, poważnej i świętej świecy, którą lud nasz otacza prawdziwie religijną czcią, którą szanuje, którą rok rocznie nosi do kościoła na święto Matki Boskiej 2-go lutego, którą zaświeca w czasie burz i zawieruch, aby się światłem jej i wiarą, opartą na poświęceniu jej w kościele, obronić przed piorunami, którą wkońcu w ostatniej chwili żywota bierze do rąk, aby mu świeciła i była symbolem światłości wiekuistej. Gromnica, kochana, święta nasza świeca.

Gruba, o barwie ziemistej, z wosku pszczelnego chłopską ręką ulana, okazuje szczególny widok i budzi szczególne uczucie. Ma w sobie dziwną powagę, nosi w sobie piętno jakiejś niebieskiej wielkości — szacunek, jakim lud ją otacza, dodaje jej niezwykłego czaru i uroku. Gromnica, świeca Matki Boskiej...

Ujrzałem ją pierwszy raz, jako mały chłopiec, jako dziecko prawie. Zobaczyłem ją taką ziemistą, ciemno-żółtą, grubą; przepasywała ją czer-

ska zmartwychwstała jest dla Stolicy Apostolskiej prawdziwym promieniem radości. „Stolica Apostolska — mówił Papież — nigdy nie wątpiła, że Polska kiedyś powstanie. Dowodem tego słowa prorocze, jakiemi się odezwał Pius IX. do studentów Kolegium polskiego, kiedy im wręczał ofiarowaną sobie z powodu kanonizacyi św. Jozafata w r. 1867 wielką świecę woskową: „Weźcie tę świecę woskową i zachowajcie ją w Kolegium polskiem tak długo, dopóki nie będziecie mogli jej zawieść do wolnej Warszawy“. Jasnowidzenie Piusa IX. spełniło się. Dokonał się widoczny cud wszechmocy Bożej. Warszawa wolna. Polska niepodległa. Niech więc nowi dwaj kardynałowie polscy zabiorą świecę i zawiozą ją do Warszawy i umieszczą w katedrze św. Jana“.

Przemowę swoją zakończył Ojciec święty wyrażeniem przekonania, że Polska okaże się wdzięczną Panu Bogu za otrzymane dobrodziejstwo i pozostanie wierną córą Kościoła katolickiego. Następnie stała się rzecz niezwykła i nigdy niepraktykowana. Mianowicie po skończeniu mowy Ojciec święty wstał z tronu i podszedł do posła polskiego przy Watykanie, by się z nim przywitać i w osobie posła powitać niejako zmartwychwstałą i niepodległą Polskę w obliczu wszystkich obecnych na sali, w której znajdowali się przedstawiciele wszystkich narodowości. Udzieliwszy błogosławieństwa wszystkim obecnym udał się Ojciec święty do swoich komnat, dokąd za nim podążyli nasi kardynałowie na posłuchanie.

Tak się odbyły uroczystości watykańskie. Wspaniałe uroczystości w Warszawie i Gnieźnie odbyły się po przybyciu naszych kardynałów do Polski. W procesyi przybyli obaj purpuraci do katedry św. Jana, gdzie ks. kardynał Dalbor miał Mszę św. pontyfikalną. Wzruszająca była chwila, kiedy marszałek Trąmpczyński zapalił w czasie Mszy św. świecę kanonizacyjną Piusa IX. Świecę tę bowiem kardynałowie przywieźli do Warszawy i umieścili w katedrze św. Jana.

Z tych wszystkich uroczystości jedna rzecz powinna się zapisać głęboko w naszem sercu. Oto sam namiestnik Chrystusa na ziemi powiada, że zmartwychwstanie Polski jest cudem wszechmocy Bożej i że za ten cud winniśmy być Bogu wdzięczni. O, niechaj te słowa nigdy nie ulecą z naszej pamięci, niech w nas żyją ciągle, niech nas zachęcają do wierności dla Kościoła katolickiego i dla tego, który jest następcą apostoła Piotra.

---

wona wstążeczka, założona na nią zapewne od lat już wielu, bo była mocno nadpełznięta. A być nawet może, że gromnica ta dziedzictwem dostała się do naszego domu po ojcach, jako droga i nieoceniona spuścizna. Być może, że matka moja trzymała ją w rękach konającej swojej matki, a kiedy ta duszę oddała Bogu, wzięła ją dla siebie, zachowała ją dla siebie, jako świętą, bezcenną pamiątkę. Nic więc dziwnego, że ją ceniła i szanowała, jak skarb najdroższy. Przechowywała ją sobie w komodzie pomiędzy świętalnem ubraniem, owiniętą w papiery i przewiązaną. — Kiedy przychodziło święto 2-go lutego, wydobywała ją matka z ukrycia, rozwijała papier i odsłaniała, całując ją i dzieciom dając do ucałowania. I wtenczas to, przy takiej to sposobności — zdaje mi się — zobaczyłem tę gromnicę po raz pierwszy. Jako nieletni chłopiec nie zdawałem sobie dobrze sprawy, co to jest i na co ma służyć — odczuwałem tylko, że to coś wielkiego, że to coś nadzwyczajnego i odrazu, bezwiednie, mimowoli uczułem ku tej świecy miłość i głęboki, religijny szacunek. Ta miłość i ten szacunek pozostał w mojej duszy do dnia dzisiejszego, choć tyle lat już od owej chwili minęło. Do dnia dzisiejszego pamiętam to pierwsze swoje spotkanie z gromnicą — i teraz, kiedy te słowa wypowiadam, zdaje mi się, że jestem dzieckiem, a koło mnie stoi matka, przybierająca odświętne ubranie do kościoła — na stole zaś stoi wydobyta z komody gromnica — gruba, woskowa, czarnożółta, wstążeczką czerwoną przepasana. I bierze ją matka z uszanowaniem na sumę, by ją po raz nie wiem który poświęcić, podnosi ją i okrywa chustką i tuli do piersi — i przed mojemi oczyma stoi ona, ta święta gromnica, taka poważna, taka wielka, taka droga i zdaje mi się, że się pali, że światło sieje naokoło, że błogosławieństwo wyprasza dla domu — i jeszcze dziś mam wrażenie zapachu palonego wosku, jaki się dobywa z płonącej świecy. Gromnica, świeca Matki Boskiej...

Ach, bo potem w późniejszych latach spotykałem się z nią częściej — spotykałem w chwilach bolesnych i rozdzierających. Już wtenczas paliła się ona naprawdę, płonęła nie w samej jeno mojej wyobraźni, ale w rzeczywistości.

Za domem huczała burza — szalona, wściekła.

Świeca Piusowa.

Był rok 1867.

Niedola Polski pod rosyjskim zaborem dosięgła szczytu. Powstanie skonało. Ufny w konwencyę z Prusami ks. Gorczakow minister spraw zagr. rosyjski odpowiodział na noty mocarstw, że sprawa polska jest sprawą wewnętrzną Rosyi. W Królestwie srożył się gubernator Berg, Litwę spławiał krwią, czyniąc z niej ziemię szubienic i mogił, Murawiew. Rusią władał krwiożerczy Bezak. Półtorasta tysięcy polskich wygnańców zaludniło step wielkorosyjski i sybirską tajgę. Na żywe ciało zwyciężonego narodu rzuciła się horda czynownicza. Dobytek kulturalny wielu pokoleń ginął, ustępując miejsca uralskiemu importowi.

Pod wpływem ogólnego rozbicia kruszyła się nadzieja w sercach, wczoraj jeszcze wierzących. Tryumfowała małoduszność. Pod osłoną praktycznych haseł szerzył się materyalizm i obojętność religijna. Zawiodło przecie wszystko, a na chmurnem niebie żaden błysk nie zwiastował świtu.

I wtedy właśnie, ponad krwawem cmentarzyskiem zwyciężonych i ponad orgią zwycięzców, rozbrzmiał głos protestu i nadziei. Był to jeno głos słabego starca, wyzutego z potęgi, ale co za tym starcem stały mnogie miliony i sam on miał na sobie znamię wybranych i moc proroczą.

Pius IX, sam jeden w całem chrześcijaństwie, nie przestał wierzyć ani na chwilę w odrodzenie Polski i pozostał jej wytrwałym orędownikiem od początku krwawego dramatu, którego kulminacyjnym punktem był rok 1863. Poruszał on wszystkie sprężyny dyplomacyi, słał kardynałów z odręcznemi pismami do monarchów, wzywał świat cały do modlitwy za Polskę i w swej stolicy urządzać kazał w tym celu procesye, czynną opieką otaczał ofiary tyranii i nie cofnął się nawet przed wypędzeniem ze swych progów posła rosyjskiego, ani przed napiętnowaniem publicznem jego monarchy. Aż wreszcie gdy czara ucisku zaczęła przelewać się przez brzegi, Pius IX postanowił świat cały wezwać na świadectwo krzywdy, wyrządzonej Polsce, a zarazem powiedzieć uciśnionemu narodowi, że mimo przeszywających go trzech mieczy, nie zginie, bo ponad najpotężniejszym mocarzem jest Bóg.

I gdy na uroczystość jubileuszu apostołów zebrało się w Rzymie ze wszystkich krańców obu półkul 120.000 pielgrzymów pod wodzą 500 biskupów, Pius IX ogłosił kanonizacyę św. Józafata, tej dostojnej postaci apostoła i męczennika, w której wcieliło się posłannictwo Kościoła na wschodnich kresach, wielka myśl unii i wreszcie los narodu, za wiarę zakutego w kajdany. I nie ograniczając się tą krwawą odpowiedzią, jaką było podniesienie arcybiskupa połockiego na ołtarze, wobec rosyjskich gwałtów i bezeceństw, wielki przyjaciel Polaków chciał pójść dalej jeszcze i zostawić następnym pokole-

---

Wicher wył, jak głodny pies, ulewa zapadała na dach domu, waliła w komin i przelewała się do środka chałupy, na polu ściemniało — a co chwila błyskawica rozdziera ciemności i co chwila piorun uderza w pobliskie drzewa. Dom aż trzęsie się od uderzeń, szyby dzwonią — a wszyscy w domu trzęsą się od strachu, serca nam drżą i dźwięczą, ot tak prawie, jak te szyby w oknach. I wtenczas matka wychodzi do izby ku komodzie, wydobywa gromnicę i zapala, a my wszyscy upadamy na kolana i ze łzami w oczach śpiewamy: „Kto się w opiekę podda Panu swemu, a całem sercem szczerze ufa Jemu, śmiele rzec może: mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga“.

Śpiewamy i patrzymy się w gromniczne blaski — i o dziwo, jakoś nam lżej na sercu, jacyś śmielsi jesteśmy wszyscy pospołu, już się tak nie boimy, już się tak nie trzęsiemy ze strachu. Patrzymy w światło ukochanej świecy i wiara wstępuje nam w dusze, moc jakaś nieugięta nas napełnia. Wierzymy, że nam się nic nie stanie, że Bóg nas zachowa od złego, że „nie przyjdzie na nas żadna straszna trwoga“ — i tak trwamy aż do chwili, gdy się burza uciszyła i pioruny zamarły.

O gromnico, o święta świeco Matki Boskiej!...

I jeszcze jeden wypadek z gromnicą — ten ostatni, ten bolesny, bardzo bolesny, ten na łożu śmierci. Umierał ojciec. Przyniesiono gromnicę. Paliła się łagodnie i słodko — a ojciec zatopił w nią blady, bielejący swój wzrok i patrzył i patrzył. Z oka tryskały mu łzy — jedna za drugą, łzy rzadkie, ale grube, bardzo grube. Spływały lekko po licach na poduszkę. A świeca się paliła i skrzyła i błyszczała i aureolą promieni oświetlała twarz konającego. Była mu rzewnie wielką pociechą, bo patrzył w nią jak w obraz — jak w obraz Bogarodzicy. Paliła się nad nim, jako znak Bogarodzicy, jako znak światłości wiekuistej. I była mu ostatnią pociechą i pomocą religijną przed zgonem.

A kiedy umarł, zapalono ją u jego głów — i świeciła mu nad skroniami — żałośnie, zadumanie, smętnie, gromnicznie. Mnie się zdawało, że ona się za duszę jego modli, że mówi za niego wieczne odpoczywanie. (s.)

niom symbol swego protestu i swej wiary niezłomnej w wyzwolenie ojczyzny św. Józafata.

Podług ceremoniału żądający kanonizacyi, prowincyał Bazylianów polskich, O. Dąbrowski, złożył podczas uroczystości papieżowi relikwie św. Józafata i wielką pamiątkową świecę. Świecę tę Pius IX oddał kolegium polskiemu w Rzymie, nakazując tam ją zachować, aż przyjdzie chwila, w której świeca ta przeniesiona do zmartwychpowstałej Polski, będzie mogła być zapalona w Warszawie.

Mówiąc te słowa, papież, podług świadectwa uczestników uroczystości, miał twarz natchnioną i płomienną, zdawało się, że przed jego oczyma przeciąga nadziemska jakaś wizya... i godzi się wierzyć, że dane mu było widzieć w tej doniosłej chwili umiłowaną przez niego Polskę, wynurzającą się z morza łez i krwi, aby zasiąść znów na majestacie.

Pół wieku czekała gromnica Piusa IX wraz z relikwiami św. Józafata w skromnym kościółku Jana Kantego przy via Maroniti na spełnienie papieskiej wieszczby. Mało było takich, którzyby w spełnienie to wierzyli, a i ci, którzy wierzyli, odkładali je na daleki dystans, i nie przypuszczali zgoła, w jakich nastąpi rozmiarach. Ale oto wieszczba spełniła się i to w rozmiarach, o jakich nie śmiała marzyć najbujniejsza fantazya. Polska powstaje nie jako marny skrawek, ale jako całość, jako olbrzym, większa i mocniejsza, niż była. I wstającej z czasowego grobu przywieźli obecnie dwaj polscy kardynałowie pośmiertny dar papieża-proroka, „świecę Piusową"... Dopełniły się czasy, dokonała się wróżba. Z wyżyn Piotrowej Stolicy spływa na Polskę promień mistycznego światła, ku odrodzeniu wewnętrznemu narodu, ku uzdrowieniu z sobkostwa i prywaty, ku nawróceniu do wielkiego posłannictwa, przez nas poniechanemu z konieczności. Niechże ta „świeca Piusowa", zapalona w starej warszawskiej katedrze, przyjęta będzie przez naród cały sercem ochotnem i wdzięcznem, niech mu stawia przed oczy potężne, bo aż do jasnowidzenia porwane umiłowanie Polski przez Namiestnika Chrystusowego, a zarazem niech nie przestaje po wsze czasy przyświecać odrodzonej Ojczyźnie!

Ks. J. G.

Kwestya żydowska.

Kiedy wchodzimy do miasta, przejdziemy parę jego ulic i wejdziemy do rynku, zauważymy prawie w każdem polskiem mieście jedno zjawisko, które na nas żadnego wrażenia nie robi, a które jednak powinno przemówić do naszego sumienia narodowego i wstrząść niem do głębi. Zauważamy mianowicie, że sklepy po miastach są żydowskie, że wielka część domów jest własnością żydów, że handel i przemysłześrodkowujący się w miastach, posiadają prawie wyłącznie w swoich rękach żydzi. Nie robi to jednak na nas wrażenia, przyzwyczailiśmy się do tego, spowszedniały nam te stosunki i wywołały dziwne przeświadczenie, że tego zmienić już nie można i że tak już być musi. Znajdują się nawet czasami ludzie, którzy mówią, że sprawy żydowskiej wogóle najlepiej nie ruszać, gdyż religia chrześcijańska nakazuje bliźnich miłować, a żyd jest przecie bliźnim. Jest to prawdziwie ślepota umysłowa bronić żyda przykazaniem miłości bliźniego tam, gdzie nikt na żyda nie chce się rzucać z kamieniem i z rabunkami, a gdzie tylko jest troska o to, aby zachować polskość i katolickość od utonięcia.

Również niezrozumiałe jest, gdy ktoś się oburza na to, że się nawołuje do unikania sklepów żydowskich. „Ja do sklepu żydowskiego iść muszę, bo tam wszystko kupię, bo u katolika niczego nie dostanę" — powiadają tacy i rzeczywiście w myśl swych zasad postępują. Rozumiemy, że może tu i ówdzie są takie stosunki, iż sklep katolicki jest marny, lichy i dziadowski, a sklepy żydowskie stoją wyżej. To jednak nie jest już powodem wystarczającym, aby sobie założyć ręce na piersi i oddać się na pastwę pijawkom semickim. Jeżeli gdzie we wsi lub miasteczku handel katolicki stoi marnie i jest niezorganizowany, jeżeli sklepy katolickie nie zaspokajają potrzeb katolików, to jeżeli w takiej wsi jest choćby kilku gospodarzy gorętszych i rozumniejszych, nie zasnią oni sprawy, ale tak długo będą zabiegać, aż stworzą jakiś konsum, czy Kółko, czy jaki sklep na spółkę. Trzeba się jednak do tego zabierać bardzo przezornie i mieć koniecznie jakiegoś człowieka, coby był i rozumny i uczciwy, bo inaczej sklep runie — ku uciesze żydów. Do takiej działalności tedy jak najusilniej zachęcamy naszych gospodarzy z tą przestrogą, aby oprzeć się umieli na pewnym i uczciwym człowieku. Jeżeli do tego dojdą, zobaczą niezadługo, że pieniądz polski nie idzie już do kieszeni żydowskiej, że zostaje u nas dla naszego dobra. Na żyda nikt się nie potrzebuje rzucać, nikt na niego kamieniem nie musi ciskać, a on sam poczuje, że jest nie u siebie i że trzeba się wynieść do Palestyny. To jest najmądrzejszy i jedyny sposób walki z żydami, sposób, zupełnie zgodny z naszą wiarą. Powiemy nawet, że Polak i katolik jest do takiej mądrej, rozumnej, chrześcijańskiej walki z żywiołem semickim w Polsce obowiązany.

Żeby do tej walki ekonomicznej z największym, bo wewnętrznym naszym nieprzyjacielem czytelników zachęcić, podamy parę cyfr, parę szczegółów z życia naszych miast. Każdego Po-

laka i katolika powinny te cyfry do głębi wzruszyć. Wspomnieliśmy na wstępie o zażydzeniu naszych miast, w których i domy i sklepy i handel znajduje się w rękach żydowskich. Otóż położenie nasze pod tym względem jest — nie powiemy już rozpaczliwe — ale w każdym razie ogromnie poważne. Grozi nam poprostu zalew żydowski. Niech Bóg broni, aby doszło do tego, ale jeśli będziemy ślepi, to naprawdę dojdzie do tego, że w miastach polskich panami nie będą Polacy, tylko żydzi czyli Niemcy, bo żydzi są przednią strażą niemczyzny u nas. Źle zaś jest dlatego, że my Polacy i katolicy rzeczywiście jesteśmy pod tym względem zaślepieni. Tyle krzyczymy na paskarstwo żydowskie, tyle rzucaliśmy się na żydów, zdawało się, że ruch antyżydowski ogarnie cały naród, a tymczasem, co się stało w ostatnich miesiącach ubiegłego roku? W samym Krakowie sprzedali katolicy żydom w ostatnim kwartale 40 domów o wartości 12 milionów koron! To jest podłe, to jest straszne i ohydne, to jest niesłychane! Jeśli tak będziemy dalej głupi, to nie pozostaje już nic — poza rozpaczą.

Bo patrzmy, jakie są stosunki po naszych miastach! W Krakowie żydzi stanowią czwartą część ludności. Polaków jest tu 76%; we Lwowie Polaków jest tylko 51.2% t. znaczy mało co więcej, niż połowa ludności. A są miasta w Małopolsce, gdzie jest połowa i więcej żydów. Miasteczka takie, jak Bobowa, Gorlice, Dukla, Chrzanów itd. to są właściwie miasta żydowskie, bo ludność polska stanowi w nich mały tylko procent. Jeszcze gorzej jest w dawnem Królestwie Polskiem. W Warszawie jest prawie połowa żydów (40%); w Łodzi połowa mieszkańców, to żydzi i Niemcy; w Lublinie jest więcej żydów jak Polaków, bo tych ostatnich jest zaledwie 38%; w Piotrkowie, Radomiu i Kaliszu Polacy stanowią 52, 50 i 49%, resztę żydzi. W miastach mniejszych położenie nasze jest wprost tragiczne. W Działoszynie Polaków jest zaledwie 14%! w Kałuszynie 15%! w Przedborzu 19%! w Chmielniku 20%! w Międzyrzeczu 23%! w Szydłowcu 24%! w Hrubieszowie 28%! w Siedlcach i Suwałkach prawie po 40%! wreszcie w Łomży 46%!

Jeżeli Polak szczery zastanowi się nad temi cyframi, to zaiste nie miałby serca, jeśliby nie zawrzał bólem i nie załamał rąk! Miasta nasze są niesłychanie zażydzone. Ogółem biorąc jest we wszystkich miastach dawnego Królestwa Polskiego 1 milion 200 tysięcy Polaków, a 1 milion 132 tysiące żydów! Gdy zaś do tego dodamy ćwierć miliona Niemców i innych narodowość, zobaczymy, że ogółem w Królestwie stanowią Polacy po miastach zaledwie połowę ludności! To jest straszne i niemiłosierne!

My przecie jesteśmy dziećmi tej ziemi, tu żyli nasi ojcowie, wszystko tu jest nasze, my tak mówimy o tej ojczyźnie, że ją kochamy, a oto pokazuje się, że wnet nas po miastach, na naszej własnej ziemi będzie mniej, niż żydów! Takiego zjawiska nigdzie niema, oprócz w Polsce. Dojdzie do tego, że u siebie samych będziemy komornikami żydowskimi.

Piszemy te słowa z prawdziwym bólem i goryczą, a jednak nie chcemy nikogo zniechęcać. Źle jest, to prawda, źle jest, że między nami są podli i nikczemni, co własny dom i własną ziemię oddają za lichy grosz żydowi. A jednak nie rozpaczajmy. Podłych sprzedawczyków piętnujmy na każdym kroku, drukujmy ich nazwiska na czarnych księgach ku wiecznej ich niesławie, ale sami spełniajmy swój obowiązek. Popierajmy przemysł i handel polski, omijajmy sklepy żydowskie i kupujmy po sklepach polskich. Jeśli te sklepy są złe i liche, to twórzmy spółki, czy Kółka i w ten sposób pracujmy.

To jest najlepszy sposób walki z żydem, bo gdy ten żyd zobaczy, że się wszyscy do niego tyłem odwrócili, pozna, że niema co tu robić i odniechce mu się naszej ziemi i naszych miejskich kamienic. Wtedy i miliony, jakie na wojnie zarobił, nie wskórają i gdy nie będzie mógł handlować u nas — pójdzie gdzieindziej — choćby ku Palestynie...

Potęga głupoty.

Gdy Pan Jezus przybywał do Jerozolimy ostatni raz w życiu, tłumy ludu witały Go radośnie i rzucały kwiaty pod nogi Jego.

Te same tłumy za kilka dni wołały: „ukrzyżuj Go!“.

Co tak prędko odmieniło tych ludzi? Wszak dopiero wczoraj byli Jego stronnikami, a dziś już są Jego zagorzałymi nieprzyjaciółmi!

To zrobiła agitacya faryzeuszów.

Agitacya jest to namowa. Jak zaczęli faryzeusze na Pana Jezusa wygadywać, że on trzyma z panami, bo z nimi jada i do nich chodzi; że On każe płacić podatki; że z dyabłem ma sprawy nieczyste — ciemny lud uwierzył.

Człowiek ciemny pozwoli w siebie wmówić wszystko.

Do takiego ciemnego przyjdzie cygan i zacznie wmawiać w biedaka, że ma w sąsiedztwie nieprzyjaciela, co mu mleko odbiera albo psuje. Potem pyta się, czy chce lekarstwa przeciw temu. Gospodyni wyciąga ze skrzyni 10 koron i daje cyganowi. Wtedy on zaczyna swe zamówienia, bełkotając niezrozumiałe słowa; mówi coś jakby pacierze; wkłada pod próg w stajni patyki na

krzyż złożone i zapewnia gospodynię, że już odtąd będzie wszystko dobrze.

W stajni jednak nic się nie zmieniło. Mleka jak nie było, tak niema; masło nie chciało się zrobić i zrobić się dalej nie chce; krowa jak kopała, tak kopie.

Dopiero teraz gospodyni widzi, że ją cygan „ocyganił". Wstydzi się swej głupoty sama przed sobą, ale za rok, za dwa zrobi znowu takie samo głupstwo.

Gdy przyjdą wybory we wsi, zjawiają się różni faryzeusze, agitatorzy i zaczynają swoje.

Jak potrzeba, udają pobożnych, podobnie jak cygan, który pacierze odmawia.

Potem zaczynają w ludzi wmawiać, że są w niewoli u księży, że mają mało pola, że płacą wysokie podatki. Ale na to rada jest: wybrać na listę numer 5, to jest socyalistyczną, albo na listę 19, tj. Stapińskiego, a wnet będzie lepiej. Rozda się wtedy wszystkim gruntów po 5 morgów; z lasów będzie brał każdy wedle potrzeby; podatki się zniży; służbę wojskową się skasuje i tak dalej. A lud wierzy święcie. Wybiera socyalistę albo ludowca i czeka na poprawę biedy, czeka na obiecane grunta rok, dwa, pięć — ale nic z obietnic się nie spełniło.

Przychodzą wreszcie nowe wybory. Zjawiają się znowu pyskacze, znowu idą obietnice — a ciemny ludek znowu wierzy.

Widzimy, że głupota ludzka, to moc, której złamać niepodobna.

Jak światło rozprasza ciemności, tak na głupotę jest jedna rada: uczyć się i czytać książki pożyteczne. Ale wyraźnie to trzeba zaznaczyć: książki pożyteczne, uczciwe.

Tak, jak w codziennych sprawach dadzą się ludzie oszukiwać, podobnie dadzą się oszukiwać w rzeczach religijnych.

Boć przecież to jest oszukiwaniem, gdy agitator mówi: ja religię szanuję, a równocześnie wygaduje na papieża albo na księży, że lud trzymają w niewoli.

Ciemnota religijna u nas jest większa, niż się na oko wydaje. Ciemnotą jest nazywać się katolikiem, a wychodzić z kościoła, gdy ksiądz czyta pismo biskupów. Ciemnotą religijną jest iść do spowiedzi albo na kazanie, a potem pisać do żydowskich gazet, co ksiądz na spowiedzi albo na ambonie powiedział.

Tak to wygląda, jakby kto uważał żyda, a nie biskupa za przełożonego swego i za przełożonego nad księdzem.

Ta ciemnota sprawia, że niejeden niby katolik, zaprzysięga się, że się swej wiary nie wyrzecze, a tymczasem on się swej wiary katolickiej już dawno wyrzekł.

Kto na wiarę swą wygaduje, kto odmawia posłuszeństwa Kościołowi, kto się łączy z nieprzyjaciółmi wiary, to ten się wiary katolickiej wyparł. Być może, że się nie wyparł wiary, ale się wyparł wiary katolickiej.

Lekarstwem przeciw ciemnocie religijnej jest nauka katechizmu gruntowna i czytanie książek pobożnych. Takie książki pobożne są: Doskonałość chrześcijańska X. Pelczara; Filotea św. Franciszka Salezego itp.

Przestarzałe hasła.

Nie mogą ścierpieć niektórzy ludzie i te stronnictwa, co głoszą, iż religia jest rzeczą prywatną, aby do szkoły jeździł ksiądz i aby tam uczył religii. Socyaliści z zasady dążą do usunięcia nauki wiary ze szkół; u nas na razie przycichli i dali spokój, przekonali się bowiem, że ludzie poznaliby się na wilkach w owczej skórze i od nich odwrócili. Gdzie jednak nie ma takiej wiary, jak u nas, tam się już niczem nie krępują. Wtenczas poznać ich można, czem oni są. Gdy po wojnie przez chwilę socyalistyczne żywioły podniosły głowę i gdy szmata czerwonego sztandaru powiewała nawet na zamkach królewskich, socyaliści odrazu zerwali z Kościołem i znieśli naukę religii w szkole. Tak zrobili w Polsce (osławiony „rząd" lubelski), taksamo zrobili w Niemczech. O Rosyi, tym klasycznym kraju socyalistyczno-żydowskiego panowania, nie mówimy.

W Niemczech odpowiedzią na zniesienie religii w szkole był głos największego dziś filozofa niemieckiego, Wilhelma Wundta, profesora w Lipsku. Wundt potępił postępek socyalistów, w stanowczy sposób wystąpił przeciw upośledzeniu religii i wypowiedział zdanie, że ci, co chcą naukę religii zastąpić nauką moralności, są w błędzie. Wyraził się też, że dążenia do usunięcia religii są przestarzałe.

Jaka szkoda, że o wywodach uczonego filozofa nie wiedzą ci, co myślą, że obalenie religii jest czemś nowem, jest hasłem postępu i kultury. Stary Wundt zdjąłby im bielmo z oczu i pokazał, że to są hasła stare i przestarzałe, że to nie hasła kultury, ale ciemnoty, zepsucia i barbarzyństwa. Dla nas zaś niech wywody uczonego protestanta będą bodźcem do ożywienia w sobie ducha religijnego.

Czeskie dążenia.

Z dawien dawna mówiono u nas, że każdy Czech jest fałszywy. W czasie wojny, kiedy hasło o wspólności wszystkich słowian rozbrzmiewało dość często, zapomnieliśmy o tem i sądziliśmy, że w Czechu znaidzie Polak szczerego brata. Nik-

czemny i zdradziecki napad na Śląsk przed rokiem wytrzeźwił nas ze złudzenia. Dziś jesteśmy wszyscy bez wyjątku przekonani, że Czech jest fałszywy, że fałszywość jest wrodzona Czechowi.

Obok tego mają Czesi jeszcze inny przymiot. Jest to naród zmateryalizowany, niereligijny, przesycony husytyzmem, naród poziomy, zapatrzony jeno w worek złota, a nie wznoszący się w uczuciach swoich ku Bogu. O niereligijności, co więcej, o bezbożności czeskiego plemienia opowiadali nam ci, co musieli przejść niewolę baraków hoceńskich. Byli to najbiedniejsi z pośród naszych biednych, byli to najnieszczęśliwsi z pośród naszych nieszczęśliwych. Wysłano ich tam przemocą, otoczono strażą, znęcano się nad nimi. Ci biedni polscy wygnańcy, dziesiątkowani przez choroby, nie mieli pociechy z nikąd — szukali jej w religii i w Bogu. Szukali jej w kościele i św. Sakramentach — i tam ją najdowali. Każdy inny naród byłby podziwiał tę religijność Polaków. Wszak pisarze francuscy często dziś powiadają, że naród polski ma rozwinięte uczucie religijne i chwalą go za to i podnoszą to, jako jego piękną stronę. Coby dopiero taki Francuz powiedział, gdyby widział Hoceń i nasz lud w barakowym kościele? Choćby nawet był niedowiarkiem, musiałby zamilknąć i uszanować uczucie najnieszczęśliwszych biedaków. Jeden tylko Czech go nie uszanował. Wygnańcy hoceńscy opowiadali nam po powrocie do swych domów, ile od Czechów wycierpieli. Drwili z nich ci „pobratymcy", szydzili z ich pacierza, pokazywali na siebie, że do Boga się nie modlą, a i tak dobrze im się powodzi. Była to niegodziwość nie do przebaczenia.

Wiedzieliśmy zresztą już od dawna o tem, iż uczucie religijne u Czechów zamiera. Słowianie należą do narodów religijnych. Czesi, to jedyny naród z pośród Słowian, który religijność utopił w swych fabrykach i w worku złota. Ziemia i doczesność zabiła w nim najpiękniejsze ideały chrześcijańskie. Czech dziś nie dba o religię, Czech zaczyna budowę życia państwowego od prześladowań religijnych. W wielkiej mierze winni tu są niektórzy księża czescy, którzy zupełnie prawie ześwieczczeli i obniżyli poziom życia kapłańskiego. Kiedy ze strony kapłanów, tych, co winni bronić zasad katolickich, niema żadnej pracy nad obaleniem prądów bezbożnych, cóż dziwnego, że słyszymy coraz to nowe rzeczy o Czecho-Słowacyi.

Więc przedewszystkiem państwo czeskie zrywa z kościołem katolickim łączność, nie uznaje kościoła powszechnego, lecz dąży do stworzenia kościoła narodowego. Zakrawa to na schizmę, na oderwanie się od jedności z Rzymem. Wyszło tam już rozporządzenie, że jeśli w jakiej parafii 50 procent ludności opowie się za kościołem narodowym, to nastąpi odebranie dotychczasowej katolickiej świątyni parafialnej i wszystkich dóbr katolickich, które przejdą na własność powstającego kościoła narodowego.

Zanosi się w Czechach na szkołę bezwyznaniową. Nie wolno będzie księdzu uczyć religii w szkole, dzieciom nie będzie wolno mówić w izbie szkolnej pacierza — o religii nie będzie wolno wspomnieć. Hasło do tego już dane. Oburzającą wiadomość przyniosły właśnie gazety, wychodzące w Pradze. Tamtejszy burmistrz wydał rozporządzenie, aby we wszystkich szkołach w Pradze krzyże z Chrystusem były powyrzucane, a w miejsce ich mają być zawieszone fotografie Masaryka, obecnego prezydenta Czecho-Słowacyi, masona i wroga chrześcijaństwa. Gdyby ten Masaryk miał iskrę przywiązania do Chrystusa, z pewnością przeciw takiemu postępkowi byłby zaprotestował. Bo dla chrześcijana jest to niegodziwością, jest to boleścią niezmierną. Ale nie trafi dziś Chrystus ukrzyżowany do serc tych, co rządzą Czechami. Wychodzić zaczyna Chrystus już i ze serca społeczeństwa czeskiego. Czy to Czechom wyjdzie na korzyść, czy geograficzna kiszka państwa czeskiego potrafi się obejść bez błogosławieństwa Chrystusowego, zobaczymy — jeśli nie my, to ci, co po nas żyć będą.

Odradzanie się Węgier.

Na Węgrzech wypędzono bolszewików. Nastały tam teraz czasy lepsze, łagodniejsze i spokojniejsze. Nastąpił tam zwrot do ideałów chrześcijańskich, zwrot, który może przyczyni się do odrodzenia narodu węgierskiego. Zwrot ten nastąpił jako skutek pracy przeważnie ludzi świeckich, pomiędzy którymi występuje niekiedy złotousty kaznodzieja, biskup Prochazka, którego wielkie zalety uznają nawet liberali i socyaliści. Utworzyło się tam wielkie stronnictwo t. zw. „zjednoczenie chrześcijańskie", utworzyła się także „zjednoczona Liga chrześcijańsko-węgierska". Do tej Ligi nie należą sami katolicy. Ale też trzeba pamiętać, że na Węgrzech obok katolików są także kalwini i że tych ostatnich jest nawet więcej. Wszystkie jednak żywioły chrześcijańskie podały sobie rękę, byle tylko zwyciężyć potwora, któremu na imię bolszewizm, a który ukrywa się jeszcze w łonie tamtejszej partyi socyalistycznej. Liga wciąga w swe szeregi wszystkich chrześcijan węgierskich, tak wszelkiego rodzaju stowarzyszenia i związki, jak pojedyncze osoby. Hasłem Ligi jest: „kraj węgierski dla chrześcijańskich Węgrów!", a celem najbliższym walka ze żydami i z masoneryą. Chce „Liga" wprowadzić do społeczeństwa solidarność chrześcijańską i będzie

kontrolowała, czy jej członkowie kupują tylko w sklepach chrześcijańskich, czy popierają prasę chrześcijańską, czy oddają swe majątki w dzierżawę żydom i t. d. Pracy nad uchrześcijanieniem Węgier oddają się gorliwie tak katolicy, jak protestanci. Kobiety także utworzyły związek i organizują się w tym celu, aby z obojętnej niewiasty węgierskiej wytworzyć kobietę-chrześcijankę.

Praca chrześcijan węgierskich nie poszła na marne. W wyborach zwyciężyły żywioły chrześcijańskie najzupełniej. Socyaliści zostali sromotnie pobici. Rząd wezmą teraz w swą rękę czynniki chrześcijańskie i podejmą pracę nad odrodzeniem narodu.

Zapał, jaki ogarnął Węgrów, może być tylko zachętą dla nas, abyśmy również podjęli pracę w tym kierunku. Nie mówmy już tylko, ale zacznijmy działać. Praca nad odrodzeniem narodu naszego pójdzie tem łatwiej, że niema u nas rozdwojenia religijnego. Jesteśmy chrześcijanie-katolicy. Złączmy swe siły, zacznijmy wychowywać młode pokolenie w duchu Chrystusa Pana, na starszych wpływajmy, aby żyli po chrześcijańsku, oderwijmy się od żywiołu żydowskiego i wytwarzajmy handel i przemysł polski. Węgry są przykładem, jak wiele można zrobić w krótkim czasie przy wytrwałej pracy.

Na posterunku.

(Wspomnienie o śp. Księdzu I. Mydlarzu).

Znałem go od dawna, bo od czasów gimnazyalnych. Chodził do średniej szkoły w Wadowicach, celującym nie bywał, ale był dobrym uczniem. Pochodził z Inwałdu, wsi leżącej między Andrychowem a Wadowicami. Odznaczał się zdrowiem i siłą, krępy, silnie zbudowany, średniego wzrostu górował ponad kolegami w zapasach i gimnastyce. Tężyzna, zdrowie i siła zostały w nim — do ostatniej choroby.

Po skończeniu gimnazyum — gdzieś w roku 1909 — Ignacy wstąpił do Seminaryum Duchownego w Krakowie, a po czterech latach został wyświęcony na kapłana. Przeznaczono go odrazu na posadę do Żywca. Kto zna Żywieczyznę, parafię liczną i nader rozległą, gdzie pracy po uszy, gdzie w dzień każdy prawie czeka wóz do chorego, a nieraz po dwa, trzy i cztery wózki, gdzie trzeba jeździć do dalekich górskich wiosek do szkoły na naukę religii, gdzie praca księdza jest ciężka, uciążliwa, gdzie ten ksiądz ciągle musi stać przy pługu kapłańskim i orać; kto tedy zna Żywieczyznę, nie zdziwi się, że tamtejszy ksiądz prepozyt był z początku zdziwiony i zaniepokojony, że na taką charówkę posłano niedoświadczonego neopresbitera.

Tymczasem Ksiądz Mydlarz na placówkę swoją przyjechał i zaczął się zaprawiać do pługa obowiązków. Pamiętam, przyjechałem do Żywca coś parę miesięcy po jego tamże pobycie. Zwracam się do księdza prepozyta z pytaniem, jak młody ksiądz pracuje? Otrzymałem odpowiedź, że znakomicie, że jest zapalny, rwie się do roboty, że dla Żywca z niego nabytek świetny, że poprostu w pracy czuje się ten młody kapłan tak swobodny, jakby był doświadczonym i starym, gorliwym kapłanem. Pamiętam, że odniosłem wtenczas z tej mowy silne wrażenie — a chwila ta do dziś dnia stoi mi w pamięci. Był z niego zadowolony jego ksiądz proboszcz, kochali go i byli do niego przywiązani żywczacy.

Niestety, pobyt ks. Mydlarza w Żywcu musiał być przerwany — władze wojskowe powołały go w r. 1915 na kapelana. Odjechał i został kapelanem. Wyjechał na front włoski, działał tam i pracował między żołnierzami, którzy go kochali, widząc, jak ochotnie ten ksiądz dzieli z nimi trudy żołnierskiego żywota, jak się im udziela i jak ich ku Bogu prowadzi. Przebył ksiądz Mydlarz, jako kapelan, kampanię włoską do końca, bo do r. 1918 i powrócił do ojczyzny w listopadzie, kiedy Austrya już się rozleciała, a Polska zerwała się do lotu.

Nie odpoczywał po powrocie, nie używał wywczasów. Wysłano go do Białej, na parafię kresową, pracę odpowiedzialną i trudną. Tu znowu tem samem się odznaczał, co w Żywcu i na froncie, tj. tą ochoczością do działania. On się rwał do roboty, on nigdy nie próżnował. Czuł może, że mu Bóg dał zdrowie i siły, że tych sił może więcej od innych posiada, więc też chciał ich użyć na chwałę Bożą. Był w nim pęd do pracy, pęd niepohamowany. I gdyby mnie kto zapytał, co uważałbym w księdzu Mydlarzu za najcharakterystyczniejsze, powiedziałbym bez wahania, że ten człowiek kochał pracę i pracę uważał za swój żywioł. Każda jego posada, to pole, na którem wyorał skibę wydatnej kapłańskiej pracy.

Z Białej przeniesiono go do Jeleśni. Parafia znowu liczna, górska, rozległa. Ksiądz Mydlarz znowu pali się, gorliwy, płomienny. Pracuje w kościele, pracuje poza kościołem, prowadzi związek chłopców i stowarzyszenie dziewcząt, niezmożony, wytrwały. Ale już zaczął niedomagać. Spotkałem go w Żywcu, jak przyjechał do lekarza, chory na nogę. Chodziły pogłoski, że mu grozi odcięcie nogi. Niebezpieczeństwo wprawdzie było, ale nie było tak poważne — i po kilku tygodniach ksiądz wyzdrowiał. W grudniu przyjechał do Krakowa — było to parę tygodni przed godnimi świętami — i wtenczas go widziałem po raz ostatni. Był zdrów, wesół, czuł się bardzo zadowolony, szczęśliwy.

Jak grom z jasnego nieba przychodzi w Nowy Rok wiadomość, że ksiądz Mydlarz właśnie umarł.

w szpitalu w Żywcu na tyfus plamisty. Zaraził się od chorego. Leżał dwa tygodnie. Gdy się go pytano, czy się obawia śmierci, odpowiedział, że jest przygotowany. Podobno w ostatnich godzinach zachęcał do pracy, do usilnej, wytrwałej pracy. Umarł na posterunku, jako ofiara zawodu.

Pogrzeb odbył się wspaniały. Przybyło 48 księży z okolicy, ludu naszły ogromne tłumy. Pochowano go w grobowcu na Przemienieniu — na cmentarzu żywieckim — tymczasowo, bo rodzina, dla której śmierć księdza Ignacego jest strasznie bolesnym ciosem, pragnie mieć jego zwłoki w Inwałdzie. Padł na posterunku ks. Ignacy. Choć młody, zasług położył wiele — i Bóg mu te zasługi policzy i zapłaci mu za jego trudy i pracę Królestwem niebieskiem. (Kolega).

Szczęśliwa myśl.

Od czasu do czasu posyłają nam nasi Czytelnicy swoje uwagi. Uwagi te są nieraz bardzo cenne i zasługujące na ogłoszenie. Rzucają one niejedną szczęśliwą myśl, któraby dałaby się przeprowadzić, gdyby znalazła garstkę ludzi gorętszych i ofiarniejszych.

Taką szczęśliwą myśl podsunął nam niedawno w liście jeden z Czytelników. Powiada on, że ludzie chcą czytać pisemka, ale skarżą się na ich drożyznę i przestają czytać. Ci zaś, którzy te pisma wydają, nie mogą posyłać ich taniej, bo papier i odcisk podrożał niepomiernie. Wobec tego byłoby najlepsze wyjście, aby róże i bractwa zbierały pomiędzy sobą składki na katolickie pisma i aby w ten sposób te pisma popierały. Do takich pism należy „Polski Siew“. Czyż nie powinno to miesięczne pisemko znajdować się w rękach każdego z członków róży? Czy nie powinien „Polski Siew“ zostać niejako pismem naszych bractw i religijnych Stowarzyszeń? Tych ośm koron na rok — to przecie cena śmiesznie mała. Aż przykro, że są tacy, którym się to wydaje za wiele. Gorliwi katolicy powinni jednak przez składki starać się, aby pisemka nie utracić — dobrze byłoby, żeby dwóch lub trzech łączyło się na wspólną przedpłatę i wspólnie „Polski Siew“ sprowadzało.

Przyzwyczajanie dzieci do szczerości.

Na ziemi muszą ludzie żyć wspólnie. Wspólne pożycie opiera się na wzajemnem zaufaniu. Wzajemne zaś zaufanie opiera się na szczerości i prawdomowności.

Nie wolno inaczej mówić, a inaczej myśleć.

Kto drugiego umyślnie wprowadza w błąd, ten kłamie, albo oszukuje. Obowiązkiem jest rodziców, aby swe dzieci przyzwyczaili do mówienia prawdy. Trudna to sprawa, ale też i całe wychowanie dzieci jest trudne. Trudne, ale wdzięczne. Dzieci dobrze wychowane są największą pociechą rodziców. Za dobre wychowanie dzieci czeka rodziców przed Bogiem wielka zapłata.

Jak dzieci przyuczać do prawdomowności, już o tem w poprzednim miesiącu mówiliśmy. Ale jeszcze musimy zwrócić uwagę rodziców na niektóre rzeczy, których się powinni wystrzegać, aby się dzieci ich nie nauczyły kłamać.

Przedewszystkiem nie wolno rodzicom nigdy rozkazywać dzieciom, aby kłamały. To byłoby zbrodnią.

„Powiedz panu nauczycielowi, żeś był chory“, tak matka mówi do dziecka, które nie było w szkole, bo miało w domu zatrudnienie. Otóż widzisz, matko, jeżeli tak każesz mówić dziecku, to je uczysz kłamstwa i zabijasz jego duszę.

Po drugie dziecku trzeba wierzyć. Gdyby matka nigdy dziecku nie wierzyła, albo mu niedowierzała, byłoby nie dobrze, bo wtedy dziecko pomyślałoby sobie, że czy prawdę mówi czy kłamie, to wszystko jedno, bo mu i tak nigdy nie wierzą. Naturalnie, że wtedy wolałoby kłamać. Trzeba więc dziecku wierzyć, a gdy się pokaże, że powiedziało nieprawdę, to tego nie należy mu przepuścić.

Ale też matka i ojciec nie mogą być łatwowiernymi, jak to często bywa. Oni tak ufają swym dzieciom częstokroć, że nigdy nie mogą przypuścić, aby ich dziecko kłamało. Bardziej wierzą swemu dziecku, niż sąsiadowi, niż nauczycielowi, niż komukolwiek. A dziecko wie o tem, i nieraz okłamuje swoich rodziców na każdym kroku.

Niechże więc matka swemu dziecku ufa i wierzy, ale nie ślepo. Niech ma oczy otwarte i od czasu do czasu niech się przekonywa, czy też dziecko prawdę powiedziało. Takie ślepe zaufanie nazywa się łatwowiernością. Łatwowierność to słabość wielu matek i ojców, a powód do kłamliwości dzieci.

Po trzecie. Niech ojciec i matka nie będą zanadto surowymi względem dzieci i niech im nie grożą wielkiemi karami. W takim razie dziecko, cokolwiek lękliwe, nie powie prawdy, bo się będzie bało strasznej kary rodzicielskiej. „Zabiję cię“, albo „łeb ci ukręcę“ — oto częsta groźba matki, która tak strachem napełnia dziecko, że się boi przyznać, gdy coś złego uczyniło, ale wszelkimi sposobami się wykręca, aby tylko ujść kary. Gdy mu się to raz i drugi uda, to powoli przyzwyczaja się do kłamstwa.

„No, przyznajcie się dzieci, nic wam bardzo złego nie zrobię“, mówiłem dzieciom w szkole

i to łagodne słowo skutkowało. Gdym atoli zaczął się gniewać i surowo pytać: „Kto to zrobił?“ — to zwykle żadne dziecko przyznać się nie chciało. A takie wypieranie się, gdy się jest winnym, to przecież kłamstwo.

Po czwarte. Matka pyta się nieraz dzieci tak niezgrabnie o coś, że im sama podsuwa kłamliwą odpowiedź. Naprzykład. Sąsiad żali się na syna, że był w jego ogrodzie. Matka mówi do niego: „Przecieżeś ty tam nie był, no, powiedz“. Naturalnie, że syn odpowie. „Nie byłem“. Musi więc matka wypytywać dziecko ostrożnie, a pamiętać, że ono się kary boi. Gdy matka skłoni swe dzieci, by się zawsze do winy przyznały, to może być o nie spokojna, jej dzieci nie będą kłamcami. Jeżeli się dziecko do winy przyzna, to mu i karę trzeba pomniejszyć.

Modlitwa.

Człowiek z każdym stanem, wiekiem,
w cierpień czy radości kole,
modli się, gdy chce, ma wolę,
i dla tego jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie i umie,
tylko jedno mu nieznane:
on się modlić nie chce w dumie —
i dlatego jest szatanem.

Deotyma.

Ślub bolszewicki.

Jedno z pism ilustrowanych w Londynie zamieściło przed kilku tygodniami rysunek, przedstawiający obrządek ślubu, jaki wprowadzili bolszewicy w Rosyi. Widzimy tam dużą izbę, na ścianie wiszą obok siebie obrazy Trockiego i Lenina, zaś na drugiej ścianie obraz Marksa. Ponad obrazami Trockiego i Lenina znajduje się umocowane drzewce czerwonego sztandaru, ułożone w ten sposób, że sztandar spływa nizko na salę, tak, iż można go dotknąć palcami. Otóż to jest największa świętość Rosyi, nie krzyż, nie obraz Chrystusa, nie kościół i ołtarz, ale czerwony sztandar, ale obraz Trockiego i Lenina.

Do stołu zbliżają się narzeczeni — para po parze i stają przed urzędnikiem, który przedstawia typ wybitnie bandycki. Narzeczeni podnoszą ręce, dotykają czerwonego sztandaru i składają przysięgę małżeńską. Inne pary siedzą na ławce, czekając na swoją kolej. Tak wygląda ślub w nauce socyalistów. Tak wygląda ślub tam, gdzie socyaliści zapanowali i władzę zagarnęli w swe ręce. Oby się nad tem zastanowili ci z pośród naszego ludu, co idą za socyalistami i dają na nich swój głos przy wyborach.

Kościelny zakaz czytania książek.

I.

W kilku artykułach wskazaliśmy na podwójną szkodę, jaką zła książka wyrządza czytelnikom: niemoralna — jest rozsadnikiem rozpusty, a niereligijna — podkopuje wiarę. Jest to rzecz powszechnie stwierdzona, dowodzić jej niema potrzeby. Każdy na podstawie własnego doświadczenia wie, jak to zasady wyrażone przez autora w pewnej książce stają się powoli zasadami czytelnika, — jak to nieraz przez książkę, pisma zmiana wewnętrzna, zmiana przekonań dokonuje się w czytającym.

Z tego powodu Kościół katolicki, stróż dobrych obyczajów i wiary Chrystusowej, nie mógł obojętnie patrzeć na zgubną działalność złych książek; poczuwał się do obowiązku wskazywania ich wiernym, jako szkodliwych gorszycieli, — ostrzegania ich przed czytaniem; czasem wyznaczał nawet pewne kary duchowne, gdy przypuszczał, że sam zakaz jeszcze nie wystarczy. Tak postępował już św. Paweł Apostoł, który w swoich listach kilkakrotnie zwracał uwagę na niebezpieczeństwo grożące od czytania złych książek. Musiał też i w swoich kazaniach przeciw nim występować, skoro, jak czytamy w Dziejach apostol. r. 19. — mieszkańcy Efezu w Małej Azyi po jego mowie samorzutnie znieśli mnóstwo złych ksiąg na rynek i tu je spalili publicznie; a nie było to drobnostką, skoro autor Dziejów apostolskich zaznacza, że przedstawiały wartość 50 tys. srebrników. Podobnie otwarcie zwracały się przeciw złym książkom często sobory powszechne (t. zn. zebrania biskupów obradujące pod przewodnictwem Papieża lub jego posła nad sprawami religii) lub sami papieże, jako zastępcy Chrystusa na ziemi. Działo się to z okazyi powstawania błędnych nauk, czyli t. zw. herezyi i pojawiania się ksiąg, które je miały wśród szerokich warstw ludności rozszerzać. Wtedy władze kościelne dla ustrzeżenia wiernych od fałszu wykazywały różnicę, jaka zachodziła między nową nauką, a religią chrześcijańską i książek propagujących błąd zakazywały. Tak postępował Kościół do chwili wynalezienia druku, t. zn. do wieku 15-go. W tym czasie dzięki temu znakomitemu środkowi porozumiewania się zaczyna się piśmiennictwo coraz bardziej rozwi-

jać, — książki tanieją, dzięki czemu i uboższe warstwy mogą czerpać ze skarbnicy wiedzy, — dla nauki zaczyna się nowy okres rozwoju. Nic dziwnego, że od tego czasu literatura niereligijna, walcząca z prawdą Chrystusową powiększa się szybko — wzmożone czytelnictwo zagraża religii. Kościół więc znalazł się wobec nowych zjawisk, i wobec nowych zadań ochrony wiary przed szkodliwym drukiem. Wielkiem ułatwieniem po części i bodźcem dla niego do pracy w tym kierunku było usposobienie rządów ówczesnych, z których niektóre (jak Belgia, Francya, Niemcy, Hiszpania itd.) na własną rękę sporządzały spisy książek wrogich religii lub moralności chrześcijańskiej. To też w r. 1542 Papież Paweł III. stwarza osobny urząd duchowny w Rzymie, którego zadaniem było wszystkie wysiłki ludzi dobrej woli połączyć ku zwalczaniu błędnych nauk, rozpowszechnianych przez druki. Skutkiem tego, kiedy w r. 1545 zebrał się sobór Kościoła nauczającego w Trydencie, przystąpiono do sporządzenia spisu (po łacinie „index") książek niebezpiecznych. Dokonano go i wydano w r. 1559. Z biegiem lat dołączano do niego nowe książki pojawiające się współcześnie lub ustalano pewne reguły, któremi chrześcijanie mieli się kierować przy ich czytaniu. Ostatnie wreszcie przepisy w tym kierunku, które do dnia dzisiejszego z małemi tylko zmianami przetrwały, wydał Papież Leon XIII. w dn. 25 stycznia 1897 r.

A zatem Kościół przez cały czas swego istnienia wskazywał pewne pisma, jako niebezpieczne i zakazywał ich czytania. Tak było za czasów apostolskich, tak jest obecnie za rządów Benedykta XV. Zapytajmy się, czy słusznie, — czy Kościół ma do tego prawo?

„Jakiem prawem — mówi niejeden — ma mi ktoś zakazywać pewnej książki? Kupiłem ją za własne pieniądze, mogę z nią zrobić, co mi się tylko podoba!" — Zastanów się chwilkę spokojnie, a rozumnie! Czemże jest zła, niereligijna czy niemoralna książka dla człowieka wierzącego? Osłabia, a nieraz i zupełnie niszczy wiarę w duszy, — a zatem ma coś wspólnego z trucizną; jak jad tej ostatniej wnika w organizm, zakaża jego krew, narzędzia i powoduje śmierć, — podobnie zasady książki złej sączą się, kropla po kropli, powodują zaburzenia w duchowym organiźmie, wzniecają walkę między chrześcijańską a niechrześcijańską religią, której tak często zakończeniem jest utrata wiary. Otóż widzisz, nad owem powszechnem moralnem i religijnem zdrowiem społeczeństw z ustanowienia Bożego czuwa straż jedna, Kościół nauczający. Jest on jakby fizykatem religijnym całego świata chrześcijańskiego, urzędem, który do starania się o zdrowotność duchową jest powołany. Cóżby to za fizyk był, któryby z założonemi rękoma siedział i patrzył, jak do jego powiatu czy miasta przybywają najrozmaitsi ludzie i ze sobą przynoszą zarazki dżumy, cholery, tyfusu! Powiedzielibyśmy mu: — źle pan spełniasz swe obowiązki; — z powodu twojej opieszałości grozi nam nieszczęście zarazy, — twoje lenistwo jest śmiercią dla nas, dla naszych dzieci! Wyobraź więc sobie podobny stan rzeczy w świecie religijnym: bezbożni ludzie piszą książki, które sieją niewiarę; ich tytuły lśnią z poza okien wystawowych, — drukarnie wysyłają ich tysiące w świat. Ludzie kupują, czytają; nikt im nie mówi o ich wartości, więc też wszystko, co wpadnie w ręce garną. Czyżby nie było usprawiedliwione ich oburzenie na Kościół: deptają nasze uczucia religijne, wydzierają nam wiarę, a wy, Biskupi, księża, nic na to nie mówicie, nie ostrzegacie? — Takie jest prawo, taki jest obowiązek Kościoła, by, skoro jest stróżem religii i moralności, by czuwał, — by stróżem był nie malowanym, ale rzeczywistym.

Jest Kościół także stróżem Boskiej nauki Chrystusa Pana; On ją w nim złożył jakby w skarbcu, — jemu kazał jej pilnie strzedz, lecz nie tylko strzedz, bo i brać ze skarbca, rozdzielać między ludzi, głosić. A tymczasem jakżeż się dzieje? Byli i są tacy, którzy bez upoważnienia, bez odpowiedniego wykształcenia tłómaczą, wyjaśniają ją w książkach. Ot np. Luter odrzucił spowiedź, a swoje odrzucenie motywował słowami Pisma św. W takich chwilach powstają wątpliwości, zamieszania między wiernymi, — najpoczciwsi nie wiedzą, gdzie prawda (bo i błąd nieraz tak jest łudząco do prawdy podobny, że trzeba bystrego oka, by go odkryć!) Cóż, czy znów Kościół ma milczeć, pozwalać na rozdzieranie społeczeństwa waśniami religijnemi? Nie! Nie może być bezczynnym, musi wystąpić i jako stróż prawdy Chrystusowej potępić błąd, a rzeczywistą ukazać chrześcijańską naukę. Zaprawdę grzeszyłby przeciw wiernym i przeciw Boskiemu Zbawicielowi Swemu, gdyby milczał. A przypuśćmy nawet — co jest niemożliwem — żeby milczał, to sami wierni nie daliby mu spokoju swojemi pytaniami. Każdy ksiądz z własnego doświadczenia wie, jak się gorąco ludzie interesują zagadnieniami religijnemi, a nie mogąc ich rozwiązać, księdza o to proszą.

Ma więc Kościół prawo, nawet obowiązek ściśle zakazywać pewnych książek, które uzna za niebezpieczne dla wiary i moralności. **J. P.**

Czy zapisałeś się już do „Towarzystwa popierania prasy i wydawnictw katolickich"? Możesz to uczynić, przesyłając wkładkę roczną 2 korony pod adresem biura „Tow. pop. prasy katol.", Kraków, plac Maryacki l. 2.

Krzyże cudowne w Assche.

O kilka mil od Brukseli, w małej mieścinie Assche, w tamtejszym kościele parafialnym, przechowują się od lat sześciuset dwa krzyże cudowne, będące przedmiotem szczególnej czci nietylko mieszkańców miejscowych, ale także całej flamandzkiej ludności Belgii. Z powodu sześćsetnej rocznicy ich umieszczenia w kościele odbyły się w tym roku w Assche wzruszające uroczystości jubileuszowe, w których uczestniczyło wiele tysięcy katolików, przybyłych ze wszystkich stron kraju.

Niezmiernie ciekawe są dzieje owych krzyżów. Opowiada je szczegółowo Godfryd Kurth, dyrektor belgijskiego Instytutu Historycznego w Rzymie w broszurze napisanej z okazyi jubileuszu. Autor oparł opowieść swoją na źródłach archiwalnych, to jest na starych księgach, z których podaje następującą opowieść o cudownych krzyżach w Assche:

„Ongi w parafii w Assche, odległej o dwie mile od sławnego miasta Brukseli w Brabancyi, mieszkała jakaś kobieta, dręczona długami, których żadną miarą spłacić nie mogła. Gdy ją wierzyciele już ostatecznie naciskać zaczęli, umyśliła zastawić u żydów, mieszkających w okolicy Assche, a trudniących się lichwą, jedyną suknię świąteczną, znacznej wartości. Chytrzy i podstępni żydowinowie, chcąc wyzyskać nieszczęśliwe położenie biednej kobiety do swych tajemniczych a snać zbrodniczych celów, odpowiedzieli na jej prośbę:

— Jesteśmy miłosierni i litościwi, chętnie tedy ci dopomożemy, nawet bez zastawu, ale z pewnym warunkiem. Nadchodzi wasza Wielkanoc, do którego to święta przygotowujecie się wy, chrześcijanie, spowiadając się i komunikując. Otóż jeżeli nam przyniesiesz Hostyę Świętą, udzieloną ci przez kapłana po spowiedzi, to otrzymasz od nas tyle pieniędzy, że wystarczą ci one nietylko na spłacenie wszystkich długów, ale nadto na wygodne życie do śmierci.

Niebaczna kobieta, po pewnem wahaniu, usłuchała zbrodniczego podszeptu. Przyjąwszy w kościele, wraz z innymi wiernymi, Ciało i Krew Chrystusa Pana, wyjęła je nieznacznie z ust, owinęła w przygotowaną chustkę i poniosła żydom. W drodze jednak sumienie ją ruszyło. Cały ogrom występku stanął przed jej oczyma.

— Jeżeli oddam żydowinom Hostyę Świętą — rozważała — to oni ją znieważą i splugawią ohydnie. Może ich za tę zbrodnię spotka już tu, na ziemi, kara Sprawiedliwego Boga, wówczas moje uczestnictwo w tem świętokradztwie wyjdzie na jaw, a wtedy i ja zostanę skazaną na haniebną karę. Nie mogę zatem Hostyi Świętej oddać żydowinom. Nie mogę jej też przyjąć w tej chwili, gdyż jestem w stanie grzechu, ściągnęłabym zatem na siebie potępienie wieczne. Cóż mam czynić?

Tak rozmyślając, rozgląda się dokoła i spostrzega tuż przed sobą odwieczną, suchą olchę, z wypróchniałym pniem. Rzuca tedy do dziupli Hostyę Świętą i wraca do domu strapiona, opłakując swój grzech ciężki.

Sucha olcha natychmiast odżyła, okryła się bujną zielonością, trwającą zimą i latem. Przytem zlatywały się do niej ptaki, siadały na jej gałęziach, wywodząc wdzięczne trele. Zwróciło to ogólną uwagę. Ludzie ze wszystkich stron ściągali, żeby podziwiać cudem wskrzeszoną olchę, a jednocześnie rozpoczęły się cudowne uzdrowienia i inne łaski. To oczywiście powodowało coraz tłumniejszy napływ pielgrzymów. Wkrótce pielgrzymki przybrały takie rozmiary, że niszczyły zasiewy okolicznych rolników. Jeden z tych ostatnich postanowił zapobiedz klęsce swoich pól, ścinając olchę. Uzbrojony w siekierę, udał się pod drzewo i zaczął je rąbać, ale wnet spostrzegł, iż odpadające trzaski broczyły krwią i upadały na krzyż. Zauważyli to również obecni przy tem pielgrzymi. Znajdująca się pomiędzy pątnikami owa grzesznica, która Hostyę Świętą w dziupli ukryła, teraz widząc, co się dzieje, głośno wyznała swój postępek. Wówczas uchwalono jednomyślnie, aby z cudownego drzewa najsłynniejszy ze snycerzy miejscowych wyrobił krzyż z wizerunkiem Zbawiciela. Gdy się to stało, umieszczono ów krzyż w kościele w Assche, t. j. tam, skąd nieszczęśliwa grzesznica Hostyę Świętą wykradła.

Krzyż w Assche wkrótce cudami zasłynął i sprowadzał tłumne pielgrzymki. Pewnego razu zdarzyło się, że dwoje pątników, mężczyzna i kobieta, dążących do Assche, aby tam pomodlić się przed krzyżem cudownym, zatrzymało się na wypoczynek w małej kolonii t'Vrijhouth. Zapytali oni stojącego przed domem swoim kolonistę, jak daleko jeszcze do cudownego krzyża w Assche, zapytany zaś, będąc niedowiarkiem, zaczął z nich drwić i szydzić:

— Jacyżeście wy głupi — mówił — żeby dla marnych pogłosek przedsiębrać tak daleką i mozolną podróż...

— A jednak, panie — rzekli pątnicy — dzieją się tam istotnie cuda.

— Nie wierzę w te cuda — roześmiał się kolonista — i chyba wtedy w nie uwierzę, jeżeli się zjawi jaki cudowny krzyż na tym moim orzechu...

To mówiąc, wskazał ręką na tuż stojące drzewo orzechowe.

W tej chwili, wśród gałęzi drzewa, ukazał się niewielkich rozmiarów krucyfiks, otoczony promiennym blaskiem. Pątnicy i nawrócony kolonista upadli na kolana, po modlitwie zaś, zawiado-

mili o nowym cudzie mieszkańców Assche. Niezwłocznie na miejsce cudu udało się procesyonalnie duchowieństwo, rajcy miasteczka i lud z chorągwiami i światłem. Pod drzewem, na którem wciąż jaśniał krzyż, odśpiewano pieśni nabożne, odmówiono modlitwy, następnie zdjęto krzyż z drzewa, zaniesiono go do kościoła w Assche i umieszczono obok krzyża z olchy. Zawiadomiony o nadzwyczajnych zdarzeniach Papież Benedykt XII, po ścisłem sprawdzeniu ich prawdziwości, uznał krzyże za cudowne, pozwolił na pielgrzymki do nich, a pątników obdarzył odpustami".

Odtąd cześć dla krzyża w Assche trwa stale, krzepiąc wiernych i umacniając ich w cnocie, przynosząc im ukojenie w cieżkich i trudnych chwilach życia. Uroczystości jubileuszowe były jej wymownem świadectwem. Miasteczko Assche przystroiło się na przyjęcie niezliczonych tłumów pątniczych odświętnie, na wszystkich domach powiewały flagi, wszystkie ozdobione były zielenią i kwiatami. Niezwykle świetnie wypadły procesye z krzyżami cudownymi i pochód historyczny, ułożony z grup, odtwarzających pewne zdarzenia dziejowe. Jedna z tych grup przedstawiała świętą Helenę z orszakiem pań dworskich, niosącą odnaleziony w Jerozolimie krzyż Zbawiciela.

Próżne człowiecze starania bez Bożej pomocy.

Bóg nas, Bóg rządzi!
Nasze staranie
zawsze zabłądzi,
gdy nie chce na nie
wejrzeć łaskawie.
Porzućmy dumy:
Szaleją prawie
nasze rozumy!

Mikołaj Szarzyński.

Gdzie szczęście?

W podaniach ludów wschodnich znajdujemy następującą historyę:

Pewien potężny król Wschodu zachorował. Próbowano różnych leków, znoszono zioła o cudownej, uzdrawiającej mocy, ale niestety, nic nie pomagało. Pan kraju, co sięgał od morza do morza, którego woli ulegało wszystko, co żyło w jego państwie, po raz pierwszy w życiu uczuł, że potęga jego i władza mają kres. Choroba stawała się z dniem każdym groźniejszą, miał się coraz gorzej i gorzej.

Zebrali się derwisze i kapłani pogańscy, zebrali mędrce narodu, radzą długo, tajemnie, siwe pochylając głowy: radzą i uradzili, że jedna rzecz tylko monarsze zdrowie powrócić zdoła, mianowicie, jeśli go obleką w koszulę szczęśliwego człowieka.

Wyruszyli gońce w cztery strony świata, na północ, na południe, na zachód, na wschód, wyruszyli rycerze i dworscy paziowie i szukają, szukają szczęśliwego człowieka.

Minął miesiąc, drugi i trzeci, z czterech stron wracają z troską na czole. Niestety, nigdzie na ziemi całej nic znaleźli ani jednego szczęśliwego człowieka.

Ale oto gdy się zbliżają do pałacu, aby panu tę smutną zwiastować nowinę, słyszą z dala piosenkę.

Piosnka wesoła, snać z lekkiej wyszła piersi: od pól szerokich, od szarej gleby wiatr ją na swych skrzydłach unosi.

Stanęli rycerze, stanęli dworscy paziowie i patrzą i słuchają skąd płynie nuta.

Kraj daleki, szeroki, aż het z niebem się styka, biały konik pług ciągnie pod skwarnem słońcem południa, nad pługiem pochylony idzie chłopek ubogi, idzie i śpiewa wesoło.

Wołają chłopa do siebie ulubieńcy pańscy:

— Któż ty jesteś człowieku, że tak śpiewasz swobodnie, jak gdyby w duszy twej żadna nie gościła troska? Byłżebyś szczęśliwym?

— Ależ naturalnie — odparł wieśniak z prostotą i wzrok jasny, pogodny podniósł na pytających.

Spojrzeli po sobie rycerze i dworscy paziowie i zawołali:

— Jeśli tak, to oddaj nam twoją koszulę, musimy ją mieć koniecznie!

— Moją koszulę! — rzekł kmiotek i roześmiał się wesoło, serdecznie. — O! mądry będzie ten, kto ją znajdzie! Patrzcie!

I rozchyliwszy siermięgę, ukazał pierś nagą. Ten człowiek nie posiadał koszuli!

Nawrócenie rewolucyonistki.

Przy schyłku XVIII wieku wybuchła straszliwa rewolucya we Francyi. Walczono, jak mówiono, za swobodę i wolność osobistą. Krocie największych wyrzutków społeczeństwa, ludzie bez żadnej czci i wiary, bez Boga, bez religii, którzy w swym szale waryacyi jawnie wyrzekli się wiary, aktorkę z teatru za swe bóstwo uznali, zamordowali w okrutny sposób swego króla, swoją królowę, a zaprowadzili anarchię, bezrząd, sami rządzili i to w taki sposób, że wystawili stałą gilotynę i na niej bez żadnej ceremonii tysiące ludzi najzacniejszych i najuczciwszych, którzy się im tylko w czemkolwiek sprzeciwili, najniewinniej tracili. Dziwna rzecz i prawdziwie tru-

dna do pojęcia! Ci tyrani i okrutnicy walczyli przecież za wolność, a chcieli, żeby wszyscy byli niewolnikami ich rozpusty i bezbożności. Sami niedowiarkowie, bluźniercy, bezwstydni lubieżnicy, nienawidzili katolików i porządnych ludzi i ich swym sądem skorupkowym z kraju wypędzali, lub też haniebnie na śmierć skazywali. Pochodzili oni z różnych klas społeczeństwa, byli najrozmaitszych przekonań, usposobień, wychowania, a jednak pod tym względem wszyscy się zgadzali i jednoczyli, aby tylko katolików, ludzi uczciwych, zacnych, uczonych, szlachetnych, usunąć lub też pomordować, aby sami mieli swobodę i wolność czynić to, co im się tylko podoba. Podobnie to wygląda jak za czasów Chrystusa. Piłat Poncki i Herod pogodzili się i pojednali ze sobą, gdy szło o potępienie Chrystusa Pana, lubo się przedtem nie lubili, nie cierpieli i nienawidzili. „Polubili się od tej pory", mówi św. ewangelia, „Piłat i Herod, ponieważ przedtem nieprzyjaciółmi sobie byli". Tak też wiadomo jest wszystkim, tak pisze znakomity pisarz niemiecki Dr. Pruner w swem dziele „Marya nasz wzór i nasza Matka", iż czasy owej strasznej rewolucyi francuskiej, tego terroryzmu i barbarzyństwa na to głównie i przedewszystkiem były obrócone, aby całą wściekłość i zajadłość tej rozwiązłej i rozbestwionej gawiedzi przeciw Kościołowi katolickiemu i jego wiernym sługom wywrzeć. Mnóstwo najzacniejszych i najuczeńszych biskupów i kapłanów potracono nie za żadne występki i zbrodnie, lecz przeciwnie, za cnoty i dobre uczynki, stali się ofiarami owych krwiożerczych bohaterów wolności, a raczej krwawemi ofiarami na przebłaganie sprawiedliwego gniewu Bożego za rozpustę, rozwiązłość, występki i zbrodnie tamtych.

Jednym z takich czcigodnych męczenników tych piekielnych dni był właśnie zacny, świątobliwy ksiądz Raclot (czyt. Raklo). Gdy go prowadzono na szafot dnia 8 lutego 1794 r., zbliżyła się doń pewna znakomita i bogata dama, ale zagorzała anarchistka, bezbożnica, która sobie za największą przyjemność i mądrość poczytywała, aby się wyśmiewać i we wszelki sposób drwić z prowadzonych na stracenie księży. Otóż, zobaczywszy i księdza Raclot, wiedzionego na miejsce kaźni, zbliżyła się doń z całym cynizmem i najbezczelniej na głos zawołała: „A księżyk! zobaczymy też, jakie to nam księżulek kazanie z tej ambony powie!" Zacny ksiądz Raclot spojrzał na nią z politowaniem, wzruszył ramionami i najłagodniej w świecie, jak to ona sama później opowiadała, wyrzekł tylko te słowa: „Tak będzie to nabożeństwo, ale proszę pani na wszystko, zmówić za mnie przynajmniej jedno „Zdrowaś Marya". — „Kto? ja? ja się mam modlić za ciebie skazańca?" — odpowiada ten kobiecy potwór. „Tak", właśnie, szanowna pani! odmów pani choćiaż jedno „Zdrowaś Marya" za moją biedną duszę, która niezadługo tam przed Sądem Bożym stanie". — „No, dobrze, dobrze! To odmówię już to „Zdrowaś Marya", odparła z ironią, z szyderstwem.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, aż tu naraz czuje się w sercu, w duszy swojej zupełnie przemienioną i przeistoczoną. Sama nic nie wie, co się z nią robi: łzy jej płyną z oczu, płacze i wzdycha. Składa ręce i odmawia „Zdrowaś Marya". Kończy jedno, powtarza drugie, trzecie i idzie tak z modlitwą na ustach, płacząc, za onym orszakiem aż pod sam szafot. Tutaj patrzy na tę krwawą ofiarę, ale już z innem usposobieniem. Śmierć tego świątobliwego kapłana staje się dla niej początkiem innego życia. Porzuca cały dotychczasowy sposób swego postępowania, bierze się do nabożeństwa, poświęca się całkowicie uczynkom pobożności i czyni owoce godne pokuty. Od tego czasu corocznie odbywała dla przebłagania Pana Boga za dawną swą bezbożność i niedowiarstwo pielgrzymkę do Matki Boskiej cudownej w Einsiedeln w Szwajcaryi, pieszo i o proszonym chlebie, lubo była w posiadaniu znacznego majątku. Dosięgła ona tak w tej pokucie swojej bardzo późnej starości i umarła opatrzona ostatniemi świętemi Sakramentami, w wielkiej pobożności około 1860 r.

Fraszka.

Niech się złe serce czuje:
Bóg złości nie lubi,
a im dłużej folguje,
tym srodzej zagubi.

Mikołaj Szarzyński.

Przykazania dla żony.

1) Nie miej żadnych przyjaciół oprócz własnego męża.

2) Nie nadużywaj imienia twego męża i nie rób długów na jego rachunek.

3) Nie zakłócaj spokoju domowego o lada drobnostkę.

4) Schodź mężowi z drogi, gdy zły i nie drażń go.

5) Nie wypowiedz nigdy słowa, obniżającego powagę męża wobec dzieci.

6) Nie mów nigdy źle o własnym mężu nawet przed najbliższymi.

7) Nie rób kosztownych wydatków po nad możność swego męża.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST. SAPIŃSKI.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.